

Iron Valley

Już z oddali dostrzegł ciągnącą się przez cały horyzont wielką bryłę Iron Valley. Nawet z tej odległości miasto sprawiało przygnębiające wrażenie, jego mury i dymiące kominy upodabniały je do olbrzymiego, zniszczonego okrętu.

Po dwóch stronach miasta rozciągały się pasma górskie, będące tak blisko siebie, że tworzyły długą dolinę, ale na tyle daleko, aby nie dać potencjalnemu przeciwnikowi przewagi wysokości podczas ataku. Znaczenie Iron Valley oraz jego siła i wielkość były wynikiem geniuszu człowieka, który już na etapie jego powstania zadbał o maksymalne bezpieczeństwo. Całe miasto otoczono murem, przed którym rozciągał się rząd „zębów smoka”, za którym znajdowały się zasieki i tablice ostrzegawcze zakazujące zbliżania się do ogrodu. Sam mur był technicznym majstersztykiem. Został zbudowany z żelbetonowych bloków ułożonych na wysokość zaledwie czterech metrów, gdyż uznano, że wyższy będzie stanowił zbyt dobry cel dla wrogiej

artylerii. Jego spora szerokość umożliwiała przejazd lekkich pojazdów terenowych oraz umieszczenie setek kamer, działek i karabinów maszynowych. Dzięki temu mur był nie tylko barierą broniącą dostępu do miasta, lecz także szybką arterią komunikacyjną dla jego obrońców. Genialność muru sprowadzała się do jego modułowości, która nie ograniczała rozwoju Iron Valley. Gdy miasto się rozrastało, przesuwano bloki, dostawiając nowe. Zyskiwano nowe tereny pod osadnictwo dla wciąż przybywających mieszkańców oraz rozwijającego się przemysłu.

Jechał drogą zachodnią, jedną z czterech, które przechodziły przez całe miasto i stanowiły oś, na której osadzała się metropolia. Droga była szeroką asfaltówką z poboczem, dobrze utrzymana i jeszcze lepiej pilnowana. Im bliżej miasta, tym więcej było strażników i wiszących przez cały czas na niebie dziesiątków przeróżnych dronów. Pół kilometra od punktu kontrolnego pojawiły się pierwsze spowalniacze oraz zasieki rozciągające się wzdłuż drogi. Niemal czuł szklane oczy kamer, celowniki działek, rakiet i karabinów maszynowych. Z lewej strony drogi, kilka metrów przed zjazdem na parking ustawiono czołg, z którego wymontowano lufę, umieszczając po obu stronach wieży dwa trzydziestomilimetrowe działka wsparte przez wyrzutnie rakiet przeciwpancernych. Wokół czołgu zbudowano z worków z piaskiem kilka niewielkich bunkrów, przed którymi stali żołnierze w przyzwoitych mundurach, kamizelkach kuloodpornych oraz ochraniaczach. Wszyscy mieli karabinki

szturmowe, a dwóch albo trzech – przewieszzone przez ramię granatniki. Jeszcze nie znalazł się po drugiej stronie murów, a już widział potęgę Iron Valley.

Wojskowy nakazał zatrzymać pojazd i wyłączyć silnik. Żołnierz spojrział na przód pojazdu, dotknął maskę silnika i bardzo powoli zaczął iść wzdłuż panharda. Kamery umieszczone na pojeździe przekazywały obraz na monitor, dzięki czemu Kris widział, jak uważnie przygląda się kołom oraz kurzowi na pojeździe i nadkolach. Niemal każda droga zostawia po sobie ślad, w zależności od materiału z jakiego jest wykonana nawierzchnia – inny będzie, gdy poruszasz się drogą szutrową, inny – gdy piaszczystą. Ci na punkcie kontrolnym wiedzieli, jaka jest nawierzchnia dróg prowadzących do najbliższych miejscowości, wystarczyło zapytać, skąd jedziesz i porównać to z tym, co widać na pojeździe. Jeżeli się nie zgadzało, to właśnie tu kończyła się twoja podróż.

Gdy żołnierz zrównał się z kabiną, odwrócił się i bez słowa zaczął zaglądać do wnętrza pojazdu. Potem przeniósł wzrok na Krisa, który trzymając ręce na kierownicy, uparcie wpatrywał się w trzydziestomilimetrowe działko wycelowane pomiędzy jego oczy.

- Cel wizyty?
- Spotkanie.
- Spotkanie? Podać z kim.
- Z Panem Dominikiem.

Na twarzy żołnierza pojawiło się zaskoczenie, które szybko przeszło w taką nienawiść, że Kris przez chwilę pomyślał, że zaraz oberwie.

- Zebrało ci się na żarty? Myślisz, frajerze, że to śmieszne? - Na jego podniesiony głos, jak na komendę, żołnierze wycelowali karabiny w przednią szybę.

Postarał się mówić spokojnie i niezbyt głośno:

- Z przodu na desce jest identyfikator, można sprawdzić, na pewno...

- Nie jestem tu od sprawdzania dokumentów, to nie moja działka. Skąd jedziesz?

- Z Samarah.

Oczy żołnierza zmniejszyły się do rozmiaru małych szparek, a usta zacisnęły mocno, jak przy szczękościsku.

- Mówisz, że z Samarah?

- Tak, ale jechałem przez Eskort. Jest dłużej, lecz bezpiecznie.

- Jak długo jechałeś?

- Siedem godzin, z dwoma półgodzinnymi przerwami, ostatnia - godzinę temu.

- Wojskowy?

- Kiedyś. Dość dawno temu.

- Zjedź w prawo na parking i czekaj na urzędasów. - Odwrócił się do żołnierzy, podniósł rękę i coś do nich powiedział. Opuścili broń.

Uruchomił silnik i dotarł na parking, gdzie kolejny mundurowy wskazał mu miejsce, rzucając krótkie: czekać. Po kilku minutach podeszło do niego dwóch siwych facetów w ciemnogramatowych, policyjnych mundurach.

- Cel wizyty?

- Spotkanie.

- Umówione?

- Tak.

- Identyfikator.

Podał plastikowy dokument. Mundurowy nawet na niego nie spojrział, włożył identyfikator do kieszeni i odszedł do stojącego na środku placu transportera. Drugi stanął przy kabinie i wpatrywał się w wyświetlacze na desce rozdzielczej. Obaj mieli pistolety Glock 17 i byli bez kamizelek kuloodpornych. Musieli mieć duże zaufanie do wojskowych z pierwszego punktu kontrolnego.

Wrócił facet z identyfikatorem. Już z daleka po jego minie było widać, że coś jest nie tak. Podeszedł blisko, tak blisko, że czuł jego zapach, mocny, śmierdzący zapach faceta, jedzącego świństwa w najtańszych chińskich barach. W jednej ręce trzymał identyfikator i uderzał nim o drugą rękę. Na jego twarzy było widać, że wyczytał coś z monitora po wprowadzeniu jego danych.

- Niby jest OK, ale spotkanie jest jutro, a jak zauważyłeś, dziś jest dziś, kapujesz?

- Jasne, że kapuję, ale przyjechałem wcześniej, bo chcę zobaczyć miasto. Wiele o nim słyszałem.

- Myślałem, że ci się pochrzało - powiedział. - No to posłuchaj: w mieście są cztery dystrykty - od czwartego do pierwszego. Ty masz spotkanie w pierwszym. Żeby wjechać do miasta, musisz zostawić w depozycie rakiety, amunicję przeciwpancerną oraz przeciwlotniczą. Na terenie drugiego dystryktu możesz posiadać tylko pistolet z trzydziestoma sztukami amunicji, a w pierwszym dystrykcie nie możesz mieć żadnej broni. Jeżeli złamiesz

te zasady, to w najlepszym razie dostaniesz kulkę w łeb, a jak będziesz miał pecha, to zdechniesz w kopalni. Wiesz, co to kopalnie w Iron Valley? Na pewno wiesz. Nie pakuj się w kłopoty i wywalaj to żelastwo.

Wysiadł i zaczął wyjmować skrzynki z amunicją, którą odbierało dwóch osiłków, ładując je na mały wózek, który zapchali do bramy. Mundurowy wręczył mu kartkę z potwierdzeniem złożenia depozytu.

Policjant zrobił krok do tyłu, zawahał się i wykonał krok do przodu, wracając do poprzedniej pozycji obok kabiny panharda.

- Ponieważ przepustka ważna jest dopiero od jutra, oznacza to, że dzisiaj możesz poruszać się tylko na terenie trzeciego oraz czwartego dystryktu. Na terenie dwójki wolno ci podjechać jedynie do hotelu. Tak między nami, to jak najszybciej przejedź przez czwarty dystrykt i przenocuj w drugim. Dobrze ci radzę, nie zatrzymuj się w czwórce i niech ci do łba nie przyjdzie, żeby zostać tam na noc.

Kris przytaknął, kierując pojazd w stronę wielkiej bramy, za którą znajdowało się największe miasto Sojuszu Południowego.

O Iron Valley krążyły legendy, opowieści i niezwykle historie o jego kopalniach, więzieniach, murach, ale także bramach. Były cztery wielkie bramy miasta. Cztery bramy skierowane na cztery strony świata. Zbudowane z najlepszej, czołgowej stali. Każda brama miała sześć metrów szerokości. Gdy była otwarta, przedzielały ją dwie żelazne zapory o wysokości półtora metra i grube

co najmniej na pół metra. Zapory były oddalone od siebie na dwa metry, co stanowiło kolejną rzecz świadczącą o genialności projektantów. Nawet w przypadku awarii jednej z nich nadal był możliwy przejazd.

Zatrzymał się przed namalowanym na asfalcie wielkim napisem STOP. Przy bramie stało czterech żołnierzy, którzy sprawdzili dokument identyfikacyjny oraz pozwolenie na wjazd. Zapory rozsunęły się do połowy, tworząc drogę szeroką na cztery metry. Gdy przejeżdżał przez bramę, pomyślał o potencjalnym nieszczęśniku, na którego pojeździe mogłyby zacisnąć się te stalowe wrota.

Wjechał za mur. Punkt kontrolny znajdujący się po jego drugiej stronie, sprawdzający pojazdy wyjeżdżające z miasta, miał zdecydowanie więcej pracy. Zauważył, że kontrola była bardziej szczegółowa.

Już wcześniej postanowił, że objedzie po kolei wszystkie dystrykty. Gdy zastanawiał się, w którą skrócić stronę, z lewej usłyszał mocny, męski i przepity głos.

– Spójrzcie, wsiok przyjechał do miasta i aż go zatkało z wrażenia. No co się tak patrzysz, ty tępy fiucie, dawno w ryj nie dostałeś?

Spojrzał na nich. Niedaleko stało kilku facetów w brudnych dżinsach i skórzanych kurtkach, z krótko przystrzyżonymi włosami i kilkutygodniowym zarostem. Byli brudni, ale nie z powodu ciężkiej pracy w fabryce – był to zwykły, codzienny i strasznie śmierdzący brud. Właściciel przepitego głosu podszedł do pojazdu, wziął potężny zamach i walnął w szybę metalowym drągiem.

Kris spojrział na niego z zaskoczeniem. Jakim trzeba być idiotą, żeby walić czymś takim w szybę pancerną?

- Widzieliście go, jak się cyknął? Trza go wywlec z tej puszki. - Zrobił krok do tyłu, zamachnął się i z całej siły poprawił uderzenie.

Ponieważ chciał zwiedzić miasto, miał już dość brudasa i postanowił skończyć zabawę. Odblokował zabezpieczenie wieży. Ciche szemranie elektrycznego napędu oznajmiło gotowość. Począł, aż facet znów zbliżył się do pojazdu i zechce uderzyć w szybę. Wtedy wykonał joystickiem szybki obrót, który z matematyczną dokładnością został powtórzony przez automatyczną wieżę. Lufa dwudziestomilimetrowego działka wykonała taki sam obrót, waląc z całą swą mechaniczno-metalową siłą w głowę brudasa. Facet oderwał się od ziemi i przeleciał kilka dobrych metrów. Jego kumple, przyglądający się całemu zajściu, zaczęli się śmiać, pokazując na leżącego we krwi kolegę.

- Ale mu przywalił! Widzieliście, jak gruby leciał? Zdrowo w ryj oberwał, co?

Jeden z nich pochylił się na leżącym, jednocześnie kopiąc go w bok. Odwrócił się do kumpli i rozłożył ręce.

- Nie rusza się. Bieremy go?

- No co ty, pogotowie jesteś? A może jakaś pielęgniarka?

- Przestańcie chrzanić, idziemy. Jak se tak poleży, to mu w końcu przyjdzie.

Ponieważ facet leżał z lewej strony pojazdu, postanowił skręcić w prawo. Ulica była dwukierunkowa, szeroka

i w całkiem dobrym stanie, a po jej dwóch stronach znajdowały się chodniki wyłożone dużymi, szarymi płytami. Były nierówne, brudne, poplamione olejem oraz benzyną, walały się na nich śmieci, a co kilkanaście metrów stały wypalone wraki przeróżnych pojazdów: samochodów, doczep, transporterów. Budynki ciągnące się wzdłuż chodnika zbudowano z dużych, szarych cegieł, co łatwo było zauważyć, ponieważ nie były otynkowane. Z prawej strony każdego budynku wystawała długa, pięciometrowa rura zakończona latarnią. W połowie długości rury przebiegały kable elektryczne opasujące całą ulicę i zapewne całe miasto. Dzięki temu dość prostemu pomysłowi uniknęli budowy setek słupów, które i tak by długo tu nie przetrwały.

Budynki były dwupiętrowe, z zakratowanymi oknami. Zauważył, że kraty montowano już na etapie budowy (nie były pomysłem zapobiegliwych mieszkańców). Pomiędzy nimi pojawiała się kilkumetrowa przestrzeń wysypana żwirem lub żuzłem, spełniająca rolę drogi. Po wyraźnie widocznych koleinach doszedł do wniosku, że mieszkańcy tego dystryktu używali głównie opancerzonych terenówek. Zapewne nie korzystali z nich często, ponieważ na drodze był niewielki ruch. Nie można było tego powiedzieć o chodnikach przed budynkami. Jeszcze nigdy nie widział tyłu facetów. Stali oparci o wraki pojazdów, siedzieli na chodniku lub na wyniesionych z mieszkań fotelach i krzesłach. Praktycznie wszyscy trzymali lub mieli w zasięgu ręki puszkę lub plastikową butelkę z piwem. Ponieważ w co drugim bloku był sklep

z wielkim napisem PIWO lub pub z szyldem: Piwo z Kija, biesiadnicy nie mieli problemu z nabyciem złocistego trunku. Pomędzy tym tałatajstwem przechodziły robotki, ale tak paskudnych nie widział w całym swoim życiu. Większość była ubrana w zielone lub niebieskie spodnie oraz koszulki nijakiego koloru. Nie miały makijażu, a ich skóra była ciemnoszara. Doskonale upodobniły się do tego smutnego molocha, stając się częścią zakratowanych, brudnoszarych bloków. Gdy przechodziły chodnikiem i mijały grupki facetów, ci klepali je po tyłkach lub łapali za piersi. Robotki próbowały ich odpychać, ale ich ruchy były ciężkie i powolne. Nie miały w sobie nic z siły i elastyczności robotek, które widywał w restauracjach, szpitalach czy klubach. Po raz pierwszy zobaczył, że robot też może się zestarzeć.

Mijał kolejne bloki i kolejne ulice, ale wszystko wyglądało tak samo. Te same szyldy, to samo piwo, te same nierówne chodniki. Zastanawiał się, jak mieszkańcy znajdują drogę do domu w morzu identycznych ulic i budynków. Wszędzie walały się śmieci, zniszczone meble, potłuczone butelki, strzępy gazet sportowych i pornograficznych. Po ulicach i chodnikach biegały stada wychudzonych psów. Kilka razy widział grupkę umorusanych dzieciaków w za dużych ubraniach, które na jego widok chwyciły za kamienie, obrzucając panharda.

Obierając cały czas lewy kierunek, dojechał do bramy południowej, za którą kończyło się osiedle i zaczynało to, z czego Iron Valley było najbardziej znane. Kopalnie. Było ich pięć, w tym jedna karna dla nieszczęśników

z pobliskiego więzienia. Wydobywany w nich węgiel przewożono do huty i dwóch elektrowni, zapewniających prąd dla miasta oraz umożliwiających sprzedaż nadwyżek pobożnym oraz okolicznej ludności. Ta część miasta była jeszcze bardziej szara i jeszcze bardziej brudna od tej, przez którą przejechał. Tłumy ubrudzonych i zmęczonych facetów szły do fabryki lub z niej wracały. Nie przypominali istot ludzkich, lecz dziwną, bezkształtną, brudną masę przemieszczającą się po dwóch stronach ulicy. Cały śmierdzący przemysł miasta ulokowano w czwartym dystrykcie przy wschodniej bramie. Przez większą część roku wiatr wiał tam z zachodu, dlatego hutę oraz elektrownie z ich wysokimi kominami ulokowano właśnie tutaj. Dzięki temu dym nie zasnuwał pozostałych dystryktów, tylko czwórkę oraz łąki wokół jego wschodnich granic.

Na chodnikach umieszczono znaki ostrzegające o poruszających się ciężarówkach. Trzymał się blisko prawej strony, a co kilka minut wyprzedzały go potężne, kilkunastoosiowe potwory wiozące czterdziestosześcioronowe ładunki węgla. Wozili go do huty lub elektrowni, a czasami nawet przejeżdżały przez wschodnią bramę i dostarczały czarne złoto na ziemię pobożnych. Te szosowe monstra nazywano rydwanami śmierci. Gdy już wjechały na trasę to nigdy się nie zatrzymywały i nigdy nie hamowały, a jeśli znalazłeś się na drodze takiego kolosa, to pozostawało ci jedynie zmówić modlitwę.

Przemysłowy obszar, zajmowany przez wielkie zakłady, był czymś niezwykłym w swojej brutalnej,

industrialnej sile. Potężne uderzenia młotów, dym, para, huk, kolorowe światła – nic tak nie ukazywało potęgi tego miasta, jak huta metalu. Zamiana wydobytych z ziemi bezkształtnych brył w twarde, żelazne przedmioty. To była najczystsza forma piękna i potęgi. Gdyby nie obecność licznych pojazdów wojska oraz policji, które patrolowały tę świątynię przemysłu, mógłby wysiąść z Panharda i wrzeszczeć jak opętany, jak szaleniec, jak ktoś, kto doświadczył objawienia siły ognia i stali.

Zmierzał do bramy północnej. Nie spodziewał się, że ujrzy coś innego niż to, co widział wcześniej. Pomylił się. Po wyjeździe z terenów wielkiej fabryki dojrzał olbrzymią budowlę, która wypełniała dużą część horyzontu. Po kilku minutach jazdy wyjechał niemal na wprost stadionu piłkarskiego – teraz dopiero zrozumiał napisy, którymi były pokryte wraki pojazdów oraz nie liczne znaki drogowe: Górnik, Hutnik, Elektryk, Stalowiec. Wielki baner zawieszony na stadionie ogłaszał rewanż Hutnika w najbliższą niedzielę. Wokół stadionu stały czerwone oraz różowe budynki, przed którymi przechadzały się piersiaste robotki oraz stare, grube kobiety, które nie nadawały się już do rozmnażania albo były bezpłodne. Tak czy owak, dla męskiej części społeczeństwa były już bezwartościowe, dlatego wylądowały właśnie tutaj. Stadion z przyległościami pełnił funkcję rozrywkową czwartego dystryktu. Wszędzie dominował kolor burdelowej czerwieni, wokół kręciły się setki facetów, którzy podchodzili do prostytutek i negocjowali cenę, a następnie znikali w jednym z ohydnych

budynków. Było brudno. Czuł zapach szczyń oraz potu, więc przestawił nawiew z zewnętrznego na wewnętrzny. Ten widok tak go zniechęcił, że od razu postanowił przejechać do trzeciego dystryktu. Droga prowadząca do bramy oddzielającej dystrykty różniła się od tego, co widział do tej pory. Była niemal pozbawiona chodnika, a przez to bardzo szeroka. Mur pomiędzy dystryktami miał pięć metrów wysokości, grubość nie przekraczającą pół metra, i rozciągały się przed nim dwa rzędy zasieków. Na szczycie był wyłożony drutem kolczastym, a co kilkanaście metrów ustawiono wielkokalibrowe karabiny maszynowe, wsparte kamerami oraz noktowizorami. Karabiny ustawiono ukośnie w taki sposób, aby obejmowały swoim zasięgiem tylko obszar, na którym znajdowały się zasieki. Po obu stronach bramy wykopano dwie zakryte studnie z uzbrojeniem – biorąc pod uwagę ich wielkość, musiały skrywać wyrzutnie rakiet przeciwpancernych, sprzężonych z trzydziestomilimetrowymi działkami. Dowódca żołnierzy stojących przy bramie sprawdził dokumenty, kierując go na drugą stronę muru. Wielka, żelazna brama rozsunęła się do połowy. Wcisnął gaz, wjeżdżając do trzeciego dystryktu. Dla podtrzymania tradycji na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w prawo, następnie w lewo. Spodziewał się, że po drugiej stronie muru zobaczy inny świat. Tak naprawdę nawet nie wiedział, czego się spodziewać, ale chciał ujrzeć coś lepszego, kolorowego, jak miasta sprzed kilkunastu lat. To, co zobaczył, niewiele odbiegało od tego, co widział w czwartym dystrykcie. Dominowała szarość.

Chodniki, bloki, budynki – wszystko było szare. Czuł, jak ogarnia go beznadziejne przygnębienie. Zawsze tak jest: gdy wyobrażasz sobie, że spotka cię coś dobrego, liczysz na fajerwerki, to dostajesz zaledwie zimne ognie. Im większe oczekiwania, tym większy zawód. Rozglądał się, szukając czegoś, co pozwoliłoby oddzielić od siebie te dwa światy, przedzielone betonowym murem. Nagle doznał objawienia. Drzewa! Zobaczył wysokie, zielone świerki. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie widział ani jednego drzewa w czwartym dystrykcie. Nie było tam nie tylko żadnych drzew, lecz także nawet zwykłych trawników. Stopniowo zaczął dostrzegać więcej różnic – co prawda chodniki wykonano z tych samych szarych płyt, ale zdecydowanie lepiej je ułożono, nie stały na nich niszczące wraki pojazdów, za to śmieci było tyle samo. Dwupiętrowe szare budynki z czwartego dystryktu, w trzecim też były brudnopopielate, ale bez krat w oknach. Na ulicach widział więcej samochodów, naliczył też kilka zwykłych osobówek.

Od kilku godzin nic nie jadł, czuł więc coraz silniejszy głód. W hotelu, w którym miał się zatrzymać, była restauracja, ale na razie nie chciał tam jechać. Szukał odpowiedniego lokalu. Ujechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy zobaczył niewielki, niebieski budynek stylizowany na wiejską chatę. Brama wjazdowa wykonana z drewna i trzciny informowała, że jest to restauracja farmerska. Wjechał na plac, manewrując tak, by nie przejechać plastikowej krowy oraz kilku równie plastikowych gęsi. Całość wyglądała swojsko, z tą jednak różnicą,

że u pobożnych nie hodowano plastikowych krów. Było czysto, jedzeniem pachniało tak smacznie, że poczuł się jeszcze bardziej głodny. W środku siedziało kilku facetów oraz trzy, może cztery robotki. Stoły były wykonane z grubego ciosanego drewna, a na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające uroki życia na wsi. Usiadł w kącie tak, aby widzieć okno i drzwi. Podeszła kelnerka, ubrana w wiejski fartuszek i ciasną bluzkę z dużym dekoltem. Nie miała dużych piersi, co oznaczało, że jedzenie powinno być dobre. W spelunach zawsze były piersiaste robotki. Zastanawiał się, która to seria, bo ładnie mówiła i była bardzo miła (zapewne zaprogramowano ją jako pielęgniarkę lub sekretarkę). Patrzył na nią, jak wstukuje zamówienie do komputera, aby jakiś koleś za drewnianymi drzwiami, które miała za plecami, przygotował mu wiejski posiłek z kuchenki mikrofalowej.

– Kelnerka, nie dziwka.

– Słucham? – wypowiedział niemal odruchowo, całkowicie zaskoczony. Spojrzał na faceta, który usiadł na krześle przy jego stole.

– Tak na nią patrzysz, że od razu wyjaśniam. Zaprogramowana jako pielęgniarka, ale kelnerką też jest dobrą.

Facet miał około sześćdziesiątki, siwe włosy, łagodne rysy, i był tak spokojny, że Krisowi momentalnie odeszła ochota na sprzeczkę.

– Tak, zauważyłem, jest miła. Idealna pielęgniarka – odpowiedział.

– Jak ci się podoba?

- Robotka?

- Jaka tam robotka. Jak ci się podoba miasto? - zapytał wyraźnie zirytowany staruszek.

- No cóż, dopiero przejechałem czwórkę, a w dystrykcie trzecim jestem od niedawna. - Spojrzał na swojego nowego znajomego, który na sam dźwięk słów czwarty dystrykt zrobił niezadowoloną minę.

- Kiedyś, dawno temu, całe Iron Valley było jednym dystryktem. Ale wszystko się zmieniło. Zbudowali mur, potem następny i jeszcze jeden.

- Wszystkie dystrykty przedzielone są murem, więc co w tym dziwnego? - odparł Kris. - Pomiędzy jedyką a dwójką też jest mur, tak jak między dwójką a trójką.

- Mur murowi nierówny. Ten chroni resztę miasta przed czwórką, pozostałe są po to, aby ludzie znali granice.

- Ty ich nie znałeś, prawda, Davidzie? - Kris spojrzał uważnie na staruszkę. - Dlatego jesteś tutaj.

- Każdy musi nieść swój krzyż.

- Wystarczy poprosić o pomoc. - Uważnie przyglądał się upartemu staruszkowi.

- A ty to kto, Maria Magdalena?

- Ona nie niosła krzyża.

- Nie, pocieszała umierającego. - Staruszek zastanawiał się przez chwilę. - Muszę to wszystko przemyśleć. Z trzeciego dystryktu można spaść tylko do czwórki, a w moim wieku to pewna śmierć.

- On chce tylko pomóc.

- Zapewne.

Umilkli, gdy do stolika podeszła kelnerka. Położyła sztućce oraz zamówione jedzenie, uśmiechnęła się najpierw do Krisa, potem do staruszka, dygnęła i jeszcze raz się uśmiechnęła.

– Miła, prawda?

– Spójrz na mnie – Kris wypowiedział te słowa z szerokim, niemal radosnym uśmiechem. Staruszek posłusznie odwrócił się w jego stronę, również zaczynając się uśmiechać.

– Nie odwracaj się teraz. Ten facet przy barze. Wysoki, kościsty blondyn, od dawna jest u ciebie?

– Od dwóch lat, czyli od momentu, gdy stałem się właścicielem lokalu. – odpowiedział David, nadal się uśmiechając.

– Teraz spójrz na robotkę, potem wstań i klepnij mnie w ramię. Zrób to tak, aby wyglądało naturalnie, i przemyśl sprawę. Przed wyjazdem cię odwiedzę.

Jedząc, obserwował wejście do kuchni. Kościsty co chwila zerkał zza kotary, przyglądając mu się uważnie.

Po wykonaniu dwóch rund wokół dystryktu ruszył w kierunku bramy, oddzielającej dystrykt trzeci od drugiego. Tym razem kontrola była podwójna. Musiał oddać broń oraz amunicję do depozytu, następnie wojskowi przetrząsnęli cały pojazd. Po przejechaniu na drugą stronę muru przeszedł nową kontrolę, tym razem przez okrytych ponurą sławą gwardzistów. Iron Valley było jedynym miastem w sojuszu posiadającym taką formację. Gwardziści mieli koszary na terenie pierwszego dystryktu, gdzie byli jedyną siłą zbrojną. Dodatkowo

sprawowali kontrolę nad bramami oddzielającymi dystrykty, z wyłączeniem muru zewnętrznego oraz przejściami między czwartym a trzecim dystryktem. Jako jedyni na terenie Iron Valley posiadali komponent lotniczy, broń pancerną oraz przeciwlotniczą, mieli najlepsze wyszkolenie i wyposażenie. Do gwardii przyjmowano jedynie osoby mieszkające na terenie pierwszego dystryktu – każdy, kto ukończył osiemnaście lat, odbywał służbę w gwardii, z tym że kobiety służyły jedynie na terenie dystryktu. Gwardziści wielokrotnie przeprowadzali działania poza miastem, byli butni i przerażająco okrutni. Młode gnojki, które wiedziały, że po odświeżeniu killkunastu miesiący mają zapewnione najlepsze urzędy oraz posady w mieście. Gwardia liczyła nie więcej niż dwa tysiące żołnierzy, jednak jej wpływ na życie mieszkańców sojuszu oraz przygranicza był zdecydowanie większy, niż wynikało to z ich liczby.

Po przeszukaniu panharda młody podporucznik gwardii nakazał mu jechać prosto do hotelu, potem zamknąć się na klucz i warować do rana. Dopiero wtedy, zgodnie z zaproszeniem, mógł opuścić hotel i poruszać się po terenie dystryktu. Kris zrobił dokładnie tak, jak mu kazano, za wyjątkiem warowania.

Obudził się wcześniej, ale czysta, pachnąca pościel i miękkie łóżko zniechęcały do wstania. Przeleżał tak kilka godzin, nie mogąc zebrać myśli. Przymuszony przez wskazówki zegara zwłókł się z łóżka, spędzając prawie pół godziny pod prysznicem. Zamówił śniadanie do pokoju. Szykując się na wizytę u Dominika, przygotował

najlepsze ubranie, jakie posiadał (miało już kilka lat, co zapewne było widać, ale nie miał nic lepszego). Przez chwilę nawet się zastanawiał, gdzie obecnie sprzedaje się zwykle ubrania, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego sklepu odzieżowego. Wystawił wózek, którym przywieziono śniadanie, na korytarz. Zabrał identyfikator, pistolet oraz dopuszczalną liczbę naboju. Zamknął drzwi i dla pewności pchnął je mocniej sprawdzając, czy zamek działa. Ruszył na spotkanie z Panem Dominikiem.